

Maciej M.

Historia mojej rodziny... niby proste a jednak – NIE.

Mam na imię Maciek i jestem uczniem technikum, młodym przedstawicielem dzisiejszego pokolenia, które cały czas pędzi i poszukuje wygodnej dla siebie drogi, i które nie ogląda się zbyt często za siebie. Siadając do tej pracy musiałem się oglądnać, cofnąć i poznać choć część historii mojej rodziny. Jednego byłem od razu pewny siadając do pisania - o kim ta praca w dużej mierze będzie – o mojej prababci - Józefie Zofii, od strony mojej mamy Anny. Miałem szczęście znać swoją prababcię, która przeżyła 99 lat, zmarła w 2014 roku. Cała nasza rodzina bardzo ją kochała i podziwiała, bo przeżyła w swoim życiu bardzo wiele i była bardzo mądrą kobietą. Nie lubiła opowiadać o minionych czasach, wspomnienia nie były wesołe... ale czasem udało się ją naciągnąć na wspominki, a o to najczęściej pytał mój tato Wojtek, który od zawsze interesował się historią. Całą „prababciną” historię opowiedział mi właśnie tato i moja babcia Marysia - najmłodsza z córek prababci Józii.

Józefa Zofia - była pierwszą córką Franciszka i Franciszki Żyłka. Urodziła się w 1915 roku we wsi Grabówka w dzisiejszym województwie lubelskim, powiecie krośnieńskim, gminie Annapol, gdzie prowadzili gospodarstwo rolne. Zosia, bo tak wszyscy ją wołali miała jeszcze pięcioro rodzeństwa, a dwójka z nich zmarła w młodym wieku. Brat Zosi Janek zmarł, jako kilkuletni chłopiec w wyniku zakażenia, które wdało się po ugryzieniu przez psa. Najmłodsza siostra Marysia odeszła w wyniku nagłego krwotoku – jak wspominała prababcia: miała 4 latka, była zdrowa, a na dworze była zima i gdy wróciła do izby usiadła przy piecu aby się ogrzać i wtedy dostała krwotoku. Nikt nie był w stanie jej uratować. Był rok 1920 i nie było takiej służby zdrowia jak teraz. Zostały z prababcią dwie siostry, Mańka i Marta, która do końca życia mieszkała w gospodarstwie w rodzinnej wsi. Drugi brat Józef zginął służąc w Ludowym Wojsku Polskim w Żarach – jak wspominała prababcia, nikt nie wyjaśnił przyczyn jego śmierci. Rodzinie powiedziano, że wywiązała się bójka w kantynie i ktoś śmiertelnie postrzelił Józefa. Zosia zakochała się w Stefanie Wdowiak - chłopcu z sąsiedniej wsi. Wzięli ślub w 1936 r. Mieszkali z rodzicami i wspólnie uprawiali ziemię. W roku 1937, tuż przed wybuchem II wojny światowej przyszła na świat ich pierwsza córka Leokadia, a trzy lata później Danusia. I wtedy zaczęły się ciężkie czasy. Atak Niemiec, a później Sowieców podczas II wojny światowej odmienił ich spokojne dotychczasowe życie. Jednym z elementów terroru stosowanego względem polskiej ludności na okupowanych przez Niemców ziemiach były pacyfikacje miejscowości, szczególnie wsi. Grabiono wieś ze

wszystkiego, a najgorsze były łapanki. Przed taką łapanką Zosia ocalała pradziadka Stefana. Pewnej nocy Niemcy specjalnie podpalili jedną z chat, aby reszta mieszkańców ruszyła na pomoc i wtedy wyłapywali wszystkich mężczyzn. Prababcia czuła, że coś złego może się stać i zabroniła wyjść pradziadkowi. Schowała go za łóżkiem i narzucała na niego pościel, a potem posadziła tam dwie córki. Przecucie nie zawiodło, Niemcy przyszli do chaty i szukali, pytali gdzie mąż, na co prababcia odpowiedziała, że przy pożarze, a dziewczynki potwierdziły. Tym razem się udało. Prababcia opowiadała także, że sporządzane były wtedy kartoteki gospodarstw. Znano ich obszar, strukturę, stan upraw i hodowli, co ułatwiało pobieranie obowiązkowych kontyngentów - czyli żywności dla armii niemieckiej. Znano liczbę osób zamieszkujących gospodarstwa. Informacje te były potrzebne, aby okupanci mogli wiedzieć ilu ludzi można jeszcze wysłać na roboty do Niemiec. Natomiast wszechobecny terror i strach przed śmiercią za pomoc skazanym na śmierć Żydom był ogromny. Jakakolwiek forma sprzeciwu wobec nowych porządków budziła strach. Każdy się bał, czy to dorosły czy dziecko. Donosy sąsiadów, czy rodziny, bo i takie miały miejsce, budziły lęk w każdym. Nie było spokojnej nocy. Pradziadek i inni mężczyźni pełnili nocne warty, aby nie dać się zaskoczyć we śnie. Podczas trwania tego okropnego czasu pradziadek rozchorował się. Nikt nie wiedział co mu dolega i gdy jechali wozem do szpitala, do oddalonego miasta Kraśnik pomógł im – uratował życie jak mówiła prababcia - niemiecki listonosz, który zawiózł go na ratującą życie operację (usunięcie wyrostka robaczkowego). Niestety w drodze powrotnej do domu gestapo aresztowało pradziadka. Wsadzono go do wagonu i wysłano do obozu koncentracyjnego w Auschwitz. Ale i tym razem opatrzność boska nad nim czuwała. Podczas transportu, gdy długi i ciężki pociąg wtaczał się pod górkę, grupie partyzantów z Batalionów Chłopskich udało się otworzyć kilka wagonów i uwolnić wiezionych tam ludzi, w tym i pradziadka Stefana. Powrót do domu trwał długo, uratowani z transportu ukrywali się po lasach, szukali schronienia gdzie tylko mogli, ale udało się. Pradziadek wrócił do rodziny po upływie około dwóch miesięcy, ale wrócił i to było najważniejsze. Radości nie było końca. Po wojnie pradziadkowie postanowili przekazać ziemię rodzicom, a sami wyjechali z dwójką dzieci na Ziemię Odzyskaną. Pociągiem dotarli do Głogowa, a stamtąd wozem konnym do wsi Sieroszowice koło Polkowic. Zostali zakwaterowani w gospodarstwie niemieckim wraz z dotychczasowymi niemieckimi właścicielami gospodarstwa. Prababcia mówiła, że była to bardzo miła rodzina z jednym dzieckiem - chłopcem. Wspólnie żyło się im zgodnie, razem uprawiali ziemię, obchodzili święta i inne uroczystości rodzinne. Po podpisaniu w dniu 14 lutego 1946 roku umowy między tymczasowym Rządem Jedności Narodowej, a brytyjską Armią Renu, niemieccy

gospodarze opuścili wiosną 1947 roku wieś Sieroszowice zabierając tylko swój skromny dobytek. Pradziadek Stefan odwiózł ich na stację kolejową w Kłobuczynie, skąd żegnani odjechali na teren brytyjskiej strefy okupacyjnej. Po wojnie i w późniejszych czasach kontaktu z nimi niestety nie było.

Sieroszowice - przed rokiem 1945 wieś nosiła nazwę Kunzendorf, dzisiaj o obecności niemieckiej na tych terenach świadczy płyta wmurowana w kościele św. Piotra i Pawła upamiętniająca czterech młodych żołnierzy mieszkańców tej wsi poległych w I Wojnie Światowej oraz zdewastowany po wojnie cmentarz niemieckich mieszkańców. W 1956 roku we wsi pojawiła się grupa badawcza z profesorem Janem Wyżykowskim na czele, który zamieszkał w sąsiedztwie dziadków u Państwa Lelickich. Dnia 23 marca 1957 roku na polach Sieroszowickich odkryto pokłady złoża rud miedzi o zawartości 1,4% Cu. Odkrycie to przesądziło o prowadzeniu dalszych badań, a w konsekwencji o powstaniu LGOM. Po uruchomieniu zakładów przemysłu miedziowego część mieszkańców podjęła pracę w pobliskich kopalniach. Pradziadkowie utrzymywali się z gospodarki. Całe swoje życie ciężko i uczciwie pracowali. Posiadali ok. 50 ha ziemi, hodowali krowy, świnie, drób. Mieli 6 pięknych koni, bez których prowadzenie gospodarki byłoby niemożliwe. Tutaj doczekali się jeszcze trójki dzieci, z których najmłodszą była moja babcia Marysia. Moja babcia ukończyła tylko miejscową szkołę podstawową i to ona według planów miała w przyszłości pozostać na gospodarstwie pradziadków. W 1971 roku poznała mojego dziadka Stanisława Styczyńskiego, który mieszkał we wsi Nowy Dwór. Wcześniej dziadek zamieszkiwał wraz ze swoją rodziną wieś Kalinówka, z której zostali wysiedleni. Wysiedlenie mieszkańców miało miejsce w latach 70 - tych, razem z Kalinówką wysiedlono jeszcze dwie sąsiadujące ze sobą wsie Barszów i Pielgrzymów. Losy trzech miejscowości przesądziła perspektywa budowy zbiornika odpadów poflotacyjnych, który musiał powstać właśnie w tym miejscu. Bez zbiornika osadowego Żelazny Most kopalnie miedzi nie mogłyby funkcjonować. Dziadek wspominał, że nie było głosów sprzeciwów, gdyż ludzie dostali z tego tytułu pieniądze, które pozwoliły im zacząć żyć gdzie indziej. Dziadek Staszek pracował wówczas w firmie, która zajmowała się wierceniami poszukiwawczymi rud miedzi. W tym samym czasie dziadek doznał groźnego wypadku motocyklowego, po którym jego życie było poważnie zagrożone. Tydzień czasu był w śpiączce z powodu dużego obrzęku mózgu. Cudem, jak mówi babcia Marysia, przeżył. W 1973 roku dziadkowie stanęli na ślubnym kobiercu. Zamieszkali wraz z pradziadkami i wspólnie pracowali na gospodarstwie, mimo że dziadkowie zostali zatrudnieni w KGHM i pracowali w pobliskiej nowo powstałej kopalni Sieroszowice. Dziadek jako

maszynista przewozu, a babcia jako sygnalistka szybowa. W 1974 roku urodził się im pierwszy syn Daniel. W kolejnym roku dziadek Staszek podczas pracy na dole w kopalni doznał ciężkiego wypadku. Jego lewa ręka została prawie całkowicie zmiażdżona przez dwa wozy kopalniane. Lekarze od samego początku chcieli mu tę rękę amputować, ale na prośbę babci nie zrobili tego. Dziadek przeszedł kilka operacji przeszczepów skóry, ale udało się, ręka ocalała i wróciła do pełnej sprawności. W 1980 roku przysła na świat moja mama Ania. Moi dziadkowie podjęli decyzję o budowie domu, który udało się wybudować. Babcia zajmowała się domem, pradziadkami i dziećmi. Dziadek dalej pracował w kopalni i przepracował w niej całe dwadzieścia pięć lat, a później odszedł na zasłużoną emeryturę. Mimo wszystko dalej pracował w kopalni, bo taką miał naturę, nie potrafił usiedzieć na miejscu. Pradziadek Stefan zmarł 1999 r. na chorobę nowotworową. To był ważny rok dla mojej rodziny – matura mamy, śmierć pradziadka, poważny wypadek samochodowy mojego wujka Daniela i późniejszy jego ślub z ciocią Agnieszką. Wujek Daniel od samego początku nauki chciał jak jego tato pracować w kopani. Skończył najpierw szkołę zawodową, później technikum górnicze w Lubinie. Gdy dziadek odchodził na emeryturę, to wujek rozpoczął pracę na tym samym szybie Polkowice Zachodnie, co dziadek. Wujek z ciocią mają dwójkę synów - Jakuba i Michała. Mama ukończyła liceum w Głogowie, a później rozpoczęła studia w Zielonej Górze na kierunku pedagogika specjalna. Tam poznała mojego tatę Wojtka Mischczyka, który po ukończeniu technikum górniczego studiował tam zaocznie socjologię i jednocześnie pracował w ZG Lubin. W roku 2004 pobrali się, a 2006 na świat przyszedłem ja. W tym samym czasie tato podjął naukę we Wrocławiu na studiach górniczych. Mieszkaliśmy z dziadkami, a w międzyczasie tato budował dom w Chróstniku, do którego wprowadziliśmy się 2009 roku. Na siostrę Marię musiałem trochę poczekać, gdyż urodziła się dopiero 2014 roku. W tym też roku zmarła moja prababcia Zosia. Była naszą skarbnicą mądrości, mimo że była bardzo skromną i prostą kobietą. Była osobą głęboko wierzącą i do końca życia lubiła czytać książki religijne. Potrafiła zadbać o wszystko i wszystkich. Kolejnym złym czasem dla mojej rodziny okazał się covid, który 2021 roku zaraz po świętach wielkanocnych zabrał nam mojego dziadka Staszka. Brakuje go nam bardzo. W ubiegłym roku mój tato i wujek odebrali honorowe szpady górnicze za 25 lat nienagannej pracy. Ja kontynuuję rodzinne tradycje górnicze ucząc się w technikum górnictwa rud.

Myślę, że każda rodzina ma swoją własną ciekawą historię, która czasem bywa też smutna, bo takie jest życie. Zadanie to uzmysłowiło mi jak ważna i bezcenna jest wiedza o historii rodziny. Uświadomiłem sobie fakt, że tak niewiele wiem o moich korzeniach i o

moich przodkach. Nawet twarze tych najbliższych, pradziadków, których jeszcze pamiętam, też powoli zacierają się w mojej głowie. Zapach ich domu, smak pieczonych ciast, śmieszny żart, wszystko to ulatuje z pamięci. Zostają jakieś strzępy różnych historii, pamięć o zabawnych lub smutnych sytuacjach życiowych. Chcę to wszystko poznać, a najlepiej spisać dla moich dzieci, żeby wiedziały i pamiętały bo w tym pędzie życia można zapomnieć, a o przeszłość warto pytać i ją zapamiętywać. Myślimy, że jest jeszcze na to czas. A co jeśli tego czasu zabraknie....